

Jerzy Maj

SKARBNICE WIEDZY – MIĘDZY TRADYCYJĄ A NOWOCZESNOŚCIĄ

*Rewolucje naukowe niemal z definicji
zaprzeczają zdrowemu rozsądkowi.*

Michio Kaku

Jesienią 1956 r., gdy cała Polska była ogarnięta fermentem tzw. polskiego Października, atmosferą pierwszego po wojnie wstrząsu rewolucyjnego, prof. Aleksander Birkenmajer w wykładzie inauguracyjnym dla I roku studentów bibliotekoznawstwa powiedział (cytuję z zachowanych notatek): „Bibliotekarze są tradycjonalistami. I nie ma sensu rozpatrywać tego w kategoriach oceniających, czy to dobrze, czy źle. Po prostu tacy są z natury rzeczy. Bo biblioteka jest instytucją służącą zachowaniu ciągłości kultury, a więc – tradycji. To musi rzutować na dobór naturalny do tego zawodu, to musi rzutować na postawy ludzi pracujących w bibliotece. Co więcej, tradycjonalizm musi być przez samych bibliotekarzy postrzegany jako wartość, jako pozytywny atrybut tej profesji.”

Dla młodego człowieka, jakim podówczas byłem, taka programowa deklaracja konserwatyzmu była trudna do zaakceptowania i omal nie spowodowała przeniesienia moich dokumentów na inny kierunek. Jako maniakialny pochłaniacz książek, od bardzo młodego wieku stykałem się z bibliotekami. I ogromnie irytowały mnie trudności w dotarciu do poszukiwanych pozycji, ospałe procedury biblioteczne powodujące, że na dostęp do nowo wydanej książki czekało się miesiącami, a na otrzymanie książki w czytelnicy – kilkadziesiąt minut, restrykcyjne regulaminy ochrony książki przed czytelnikiem itd. Wybierałem ten kierunek studiów m.in. dlatego, aby – po zdobyciu odpowiedniej pozycji w zawodzie – móc wiele zmienić na lepsze, a przede wszystkim unowocześnić zastarzałe, niewydolne struktury i mechanizmy biblioteczne. Cóż, młodość jest równie pełna wiary w przyszłość, co naiwności...

Do cytowanej na wstępie tezy prof. Birkenmajera wracałem w toku swojej drogi zawodowej wielokrotnie, poddając ją różnorodnym konfrontacjom i weryfikacjom. Za kluczowe uważałem zawsze dwie kwestie:

1. Czy i w jakim stopniu konserwatyzm bibliotekarzy jest nieuniknioną pochodną funkcji biblioteki jako skarbnicy-przechowalni kultury narodowej?

2. Czy rzeczywiście nie ma sensu stawianie wartościującego pytania, czy ów konserwatyzm to wartość pozytywna, czy wada, słowem: dobrze to, czy źle?

Po latach doświadczeń zawodowych nie czuję się na siłach udzielić wyczerpujących odpowiedzi na powyższe pytania ani teraz, ani – obawiam się – kiedykolwiek. Pragnę jedynie podzielić się kilkoma refleksjami różnej wagi, w większości – mówiąc językiem bokserkim – wagi lekkopółśredniej, a nawet papierowo-piórkowej. Proszę je traktować raczej w kategorii felietonu niż eseju.

Nowoczesność, postęp techniczny, a zwłaszcza rozwój mediów elektronicznych postrzegany jest obecnie przez wielu przedstawicieli kultury jako jej poważne, niekiedy wręcz śmiertelne zagrożenie. Jutro, (tj. 24.11.1995) w Instytucie Kultury w Warszawie, zaczyna się konferencja popularnonaukowa pt. „Kultura XXI wieku”, a tematy obrad w kolejnych dniach to: „Kultura wobec wyzwań i zagrożeń XXI w.”, „Kultura między przeszłością a przyszłością” oraz „Kultura w epoce nowych mediów”.

Tematem otwierającym będzie dyskusja wokół książki Neila Postmana pt. *Technopol. Triumf techniki nad kulturą*¹. Ta bogata i wielowarstwowa książka jest namiętną obroną kultury symbolicznej i - *eo ipso* - gwałtownym atakiem na technikę, przede wszystkim na nowe techniki przekazu. Autor pisze wręcz, iż (s. 8): „[...] rozwój techniki niszczy najbardziej żywotne źródła naszego człowieczeństwa, tworzy kulturę bez fundamentów moralnych, [...] podkopuje pewne procesy umysłowe i relacje społeczne, które nadają wartość ludzkiemu życiu itd.”

Czyta się to z zainteresowaniem, bo rzecz jest pisana z pasją, argumentacja podparta ogromną erudycją i finezyjną sprawnością umysłową. Ale – moja przekorna natura każe mi zapytać autora, czy tekst swojej rozprawy pisał gęsim piórem maczanym w inkauscie z kory dębu moczonej przez miesiąc w wodzie źródlanej, czy długopisem lub na maszynie do pisania, czy może – *horrendum* – na komputerze osobistym? I czy przed przystąpieniem do pisania wykapał się u pobliskiego potoku, czy może jednak w ogrzewanym bathroom’mie? Czy na śniadanie ogryzał na surowo udziec wcześniej upolowanego bawołu, zagryzając to plackami z manioku ususzonymi w promieniach słońca, czy może jednak zjadł grzanki z tostera obłożone wędliną i popił kawą z ekspresu?

Pytania te uzasadnione są wielokrotnym odwołaniem się Postmana do cytowanej przez Platona w *Fajdrosie* legendy o Tamuzie, królu Górnego Egiptu. Legenda ta mówi, że kiedy bóg Teut, wynalazca liczb, rachunków, geometrii, a także pisma – prezentował Tamuzowi to ostatnie, rzekł mu przy tym:

„Królu, ta nauka uczyni Egipcjan mądrzejszymi i sprawniejszymi w pamiętaniu; wynalazek ten jest lekarstwem na pamięć i mądrość [...]”

A na to król Tamuz:

„Ty jesteś ojcem liter, zatem [...] przypisałeś im wartość wprost przeciwną do tej, którą one posiadają na-

¹ N. Postman, *Triumf techniki nad kulturą*, Warszawa 1995.

prawdę. Ten wynalazek niepamięć w duszach ludzkich posieje, bo człowiek, który się tego wyuczy, przestanie ćwiczyć pamięć, zaufa pismu i będzie sobie przypominał wszystko z zewnątrz, a nie z własnego wnętrza, z siebie samego. Więc to nie jest lekarstwo na pamięć, tylko na przypominanie sobie. Uczniom swoim dasz tylko pozór mądrości, a nie mądrość prawdziwą. Posiedzą bowiem wielkie odczytanie bez nauki i będzie im się wydawało, że wiele umieją, a po większej części nie będą umieli nic i tylko obcować z nimi będzie trudno; to będą mędrzy z pozoru, a nie ludzie mądrzy naprawdę”.²

I jak my, strażnicy wielkich zasobów słowa drukowanego, wyglądamy w oczach starego króla Tamuza? Przekonani, iż stanowimy opokę kultury, wiedzy a mądrości, zaślepieni pychą, nie zdajemy sobie sprawy, że klienteli naszej „tylko pozór mądrości, a nie mądrość prawdziwą” dajemy. I czym tu się szczyścić?

Wróćmy jednak do Postmana. Polemizuje on z Tamuzem, stwierdzając (s.12), iż: „[...] myli się [onze Tamuz] sądząc, iż pismo będzie tylko i wyłącznie ciężarem dla społeczeństwa [...]”, a dalej oznajmia, iż jego (Postmana) zdaniem „[...] każda technologia jest zarazem ciężarem i błogosławieństwem [...]”, aby w następnym akcie wybuchnąć, iż „[...] ciągle otaczają nas tłumy gorliwych Teutów, jednookich proroków, którzy widzą tylko to, czego nowe technologie potrafią dokonać, ale nie są w stanie wyobrazić sobie tego, co nam odbiorą” [podkr. N. P.]. Takich ludzi nazywamy technofilami. Wpatrują się oni w technikę jak kochanek w swoją lubą, nie widząc w niej żadnej skazy [...]”.

Po tej wypowiedzi o charakterze zbliżonym do inwektywy, Postman znowu łagodzi (s. 13): „Żadna bowiem kultura nie może uniknąć negocjacji z techniką [...]. Ubija się interes, w którym technika coś daje, a coś odbiera. Ludzie mądrzy wiedzą to doskonale i dlatego rzadko chylą czoło przed gwałtownymi zmianami technologicznymi, a nigdy się nimi nadmiernie nie cieszą”.

Wygląda na to, że w naszym środowisku zawodowym mamy wyjątkowo wielu „mądrych ludzi”...

Testowym przypadkiem nowoczesności w bibliotekarstwie jest – oczywiście – zastosowanie w nim techniki komputerowej. O mądrości naszego środowiska świadczy nie tylko to, że wprowadzaniu jej do naszych bibliotek bardzo często towarzyszy nastrój melancholii i nieufnego dystansu, ale także ogromne zaangażowanie w ograniczenie do minimum katastrofalnych zagrożeń, jakie ze sobą niesie. Jeżeli już nie można uniknąć pojawiania się tej groźnej techniki w danej bibliotece, to natychmiast podejmuje się działania zmierzające do wyrwania jej – lub przynajmniej stępienia – zębów. I tak np., jeśli już musi być komputer, to najlepiej go w ogóle nie włączać, ale to ostatnio coraz rzadziej się udaje. Można jednak wykorzystać go po prostu do pisania na nim i drukowania kart katalogowych. W takim zastosowaniu nowoczesna technika przynosi korzyści, a nie przynosi szkód: wydrukowane w ten sposób karty są na ogół elegantsze i łatwiej czytelne, niż np. pisane na maszynie i powielane, a zarazem katalog pozostaje przyzwoitym, nie niosącym żadnych zagrożeń dla wiedzy i kultury katalogiem kartkowym.

² Platon, *Fajdros*, 274D – 275B, Warszawa 1958.

Jeśli nacisk administracyjny polskich technofilów zmusi nas do założenia komputerowej bazy danych, to jeszcze można zmniejszyć destrukcyjne oddziaływanie wrażeń techniki: do bazy należy przepisywać opisy katalogowe dokładnie w tym samym brzmieniu, jakie było w tradycyjnym katalogu, wraz z niezmienianą charakterystyką rzeczową wg UKD, czy standardowych haseł przedmiotowych *Przewodnika Bibliograficznego*. Efekt murowany: wyszukiwanie wg takich charakterystyk w komputerze spowoduje tak wysoki poziom szumu informatycznego, że większość czytelników wnet się zniechęci i zażąda przywrócenia katalogu kartkowego. A oto przecież nam szło.

Niekiedy ambitni dyrektorzy czy kierownicy bibliotek, podbechtani przez technofilów, zmuszają swoich pracowników do wprowadzenia komputerowej ewidencji czytelników i udostępnień, bo unowocześnienie tego aspektu funkcjonowania biblioteki jest najbardziej spektakularne: każdy wchodzący do biblioteki od razu widzi, że tu jest nowoczesnie. Ponieważ gremia kierownicze bibliotek wykazują wyjątkowo wysoką zapadalność i znikomą odporność wobec tego syndromu, sprawa jest niebezpieczna. Ale, jeśli będziemy postępować konsekwentnie i ze znajomością rzeczy, to i tu nie jesteśmy bez szans. Po pierwsze – należy delikatnie wyperswadować kierownictwu zakupienie systemu opartego na identyfikowaniu książek i czytelników poprzez kody kreskowe. Należy argumentować wysokimi kosztami czytników kodów, odpowiedniego oprogramowania, a przede wszystkim specjalnej drukarki do takich kodów. Jest to o tyle łatwe, że są to koszty rzeczywiście wysokie, przekraczające niekiedy cenę mikrokomputera średniej klasy. Jeśli się to uda, to należy z kolei przeprowadzić tezę, że nie ma sensu identyfikowanie czytelników jakimikolwiek numerami. Byłoby to bowiem kłopotliwe, gdyż wskutek wycofywania się jednych i pojawiania się nowych czytelników trzeba byłoby prowadzić ewidencję „pustych numerów” w odrębnej kartotece itd.

Stąd już tylko krok do przyjęcia za identyfikator czytelnika jego nazwiska, imienia oraz imion rodziców i daty urodzenia. Potrzebne jest aż tyle elementów identyfikacyjnych, bo przecież może się zdarzyć dwóch Janów Kowalskich, synów Jana, mniej prawdopodobne jest, że będą to zarazem synowie Marii, a już zupełnie nieprawdopodobne, że urodzili się tego samego dnia, miesiąca i roku.

Jeśli i to nam się uda, to najtrudniejsze mamy za sobą. Z odpowiednio manifestowanym entuzjazmem wdramy system i już zupełnie bez wysiłku, całkiem spontanicznie – mylimy się przy co trzecim wywołaniu czytelnika z bazy, sprawdzamy, poprawiamy itd. Efekt równie pewny i szybki jak poprzednio: komputerowa ewidencja wydłuży kilkakrotnie czas obsługi czytelników, co spotka się z ich gwarantowanymi protestami, stanowiącymi silny argument za powrotem do wypróbowanej, manualnej ewidencji.

W jednej z polskich bibliotek zastosowano oryginalny sposób na skompromitowanie niebezpiecznej nowoczesności: mając do dyspozycji 3 mikrokomputery

założono na każdym z nich odrębne katalogi-bazy: na pierwszym – alfabetyczny, na drugim – UKD, na trzecim wreszcie – przedmiotowy, przy czym do każdego wprowadzono opisy zupełnie odrębne, tak że ich zakresy prawie wcale się nie pokrywały. Ponieważ zarazem nie uzupełniano już katalogów tradycyjnych, znalezienie czegokolwiek wymagało poszukiwań w 3 komputerach i 3 katalogach, co skutecznie zniechęcało 99,9 % czytelników do jakichkolwiek poszukiwań.

Niestety, ta pozornie efektowna metoda jest bardzo niepewna. W dzisiejszych czasach łatwo może się zdarzyć, że do biblioteki zajrzy jakiś technofil-amator, bo mnożą się oni jak australijskie króliki i uświadomi kierownictwu, że jedna baza komputerowa może pełnić funkcję wszystkich katalogów naraz. A wtedy klapa na całej linii: perfidna technika może usadzić się w naszej bibliotece na dobre.

A teraz chwilę w nieco poważniejszej tonacji.

Sprzeciw wobec nowoczesnych technik, szczególnie komputerowych, jawny czy skrywany, jest istotnym faktem – nie tylko polskim w bibliotekarstwie i – nie wyłącznie w bibliotekarstwie. A jeśli zaś coś istnieje, to i z czegoś wynika. Sądzę, że nie tylko i nie przede wszystkim z przyczyn wskazanych przez Neila Postmana. Tym bardziej, że zdarza mu się popełnić poważne nadużycia myślowe, na przykład kiedy twierdzi stanowczo, iż nowe techniki (a zwłaszcza media) eliminują poprzednio używane. A jest to po prostu nieprawda. Pismo nie wyparło kontaktu przez słowo bezpośrednio mówione: dowodem żywotność przekazywanej z ust do ust plotki, anegdoty, ważnej dla kogoś „poufnej informacji” itd. A także ballady, której renesans m.in. w Polsce obserwujemy cyklicznie co kilkanaście lat, ostatnio w tzw. muzyce rap czy country. Druk nie wyparł pisma odręcznego, kino teatru, telewizja kina, a wideo telewizji. Owszem, pewne formy przekazu kulturowego i informacyjnego uległy redukcji, ale nie zniknęły. Należałoby mówić raczej o współegzystencji i uzupełnianiu, a nawet o wzajemnym przenikaniu się. Teatr, poza zredukowaną egzystencją samoistną, istnieje w telewizji i radiu; były lata w Polsce, że teatr radiowy miał wielomilionową widownię. Niektóre spektakle poniedziałkowego Teatru Telewizji z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, jak chociażby *Zegarek* Jerzego Szaniawskiego z Kazimierzem Opalińskim i Tadeuszem Łomnickim, *Uciekła mi przepióreczka* Stefana Żeromskiego ze Zbigniewem Zapasiewiczem i Elżbietą Starostecką, czy *Niespodzianka* Karola Rostrowskiego z Tadeuszem Fijewskim i Ryszardą Hanin – to wydarzenia artystyczne, wspomniane w moim kręgu pokoleniowym do dziś. Tak wysoki, zapadający w pamięć poziom tych spektakli wynikał m.in. z możliwości angażowania do jednego przedstawienia najlepszych aktorów z kilku normalnych teatrów, rzecz nieosiągalna dla zwykłej sceny. A wreszcie formy swoiste dla pewnych mediów: ani znakomita inscenizacja *Pana Tadeusza* w reż. Adama Hanuszkiewicza, ani tym bardziej *Kabaret Starszych Panów* nie mogłyby powstać poza telewizją.

Trudno polemizować z tezą, że „technika coś daje, ale i coś zabiera”, bo to stwierdzenie jest truizmem i nie ma charakteru wartościującego. Nabiera go do-

piero wówczas, gdy próbujemy określić, „czy więcej daje, czy zabiera”. I aczkolwiek N. Postman i jego zwolennicy nigdzie nie określają wprost proporcji rabunku dokonywanego przez technikę do tego, co – jak łaskawie przyznają – daje, to z natężenia i rozległości ich lamentu można wnosić, iż technika totalnie ogałaca nas z kultury, dając w zamian co najwyżej małe Puchatkowe „conieco”. A to znowu jakby niezupełnie zgadza się z rzeczywistością, jak to próbowałem wyżej wykazać.

Toteż wydaje mi się, że istotne źródło sprzeciwu wobec – jak pisze Postman – „żywiotowego i niekontrolowanego rozwoju techniki” tkwią zupełnie gdzie indziej, a mianowicie w fakcie wyprzedzenia przez dynamikę rozwoju techniki w niektórych dziedzinach tempa możliwości adaptacyjnych ludzkiej psychiki.

Druk, ta wynaturzona forma pisma, wynalazku tak krytykowanego przez króla Tamuza, utrwał się w kulturze europejskiej przez około pół tysiąclecia, kino – przez stulecie, inne media liczą się w dziesięcioleciach, a komputer – w zastosowaniu powszechnym – nie osiągnął jeszcze pełnoletności. Coraz trudniej nadażyć z oswojeniem się. Zwłaszcza historykowi, czy w ogóle humaniście, przywykłemu do niespiesznego wertowania myśli ludzkiej, zapisanej znaczkami pisma, też diabelskiego wynalazku, wyzuwającego z „prawdziwej mądrości” (w rozumieniu króla Tamuza).

Jeśli zatem zastanawiamy się nad losem bibliotek stojących na rozdrożu tradycji utożsamianej z koniecznością zachowania nie tylko dorobku kulturowego, ale i pewnych niespiesznych, kontemplacyjnych zachowań oraz nowoczesności symbolizowanej przez komputery, to musimy sobie uświadomić, co do czego należy. Inaczej mówiąc, trzeba spróbować odpowiedzieć sobie na pytanie wynikłe z tezy prof. Birkenmajera, w jakim sensie bibliotekarze muszą być tradycjonalistami, a w jakim – nie powinni.

Wydaje mi się, że muszą być w tym wszystkim, co służy zachowaniu treści wartościowego zapisu kulturowego ludzkości, a także utrzymaniu jego *pierwotnej formy*, bo jest ona jego niezbędną, identyfikacyjną składową.

Nie muszą natomiast, a nawet nie powinni, być tradycjonalistami w tym wszystkim, co służy ułatwianiu dostępu do zachowanych zasobów treści i form. To ułatwienie dostępu, to nie tylko – a może nawet nie przede wszystkim – technika. To także, chyba nawet bardziej, stworzone przez tę technikę możliwości szybszego orientowania się w zasobie, dzięki głębszej i szerszej charakterystyce rzeczowej dokumentu oraz wieloaspektowego, krzyżowego jej wykorzystania w procesie wyszukiwawczym. W tej dziedzinie nie tylko polskie, ale i światowe bibliotekarstwo zdaje się być na początku drogi. Tu najbardziej potrzebny jest jakiś skok jakościowy w metodologii, który choć przybliżyłby nas do tempa rozwoju narzędzi technicznych. To trudne do wyobrażenia, ale konieczne. I dlatego musi się pojawić, jak pojawiło się pismo, gdy pamięć ludzka nie mogła już pomieścić wszystkich informacji, dostępnych i niezbędnych ówczesnemu człowiekowi.

Technika zapewne wiele odbiera kulturze, ale – odmiennie niż Neil Postman – uważam, że o wiele więcej daje. Przede wszystkim szansę (choć nie gwarancję ani pewność) uporządkowania i opanowania ogromu dorobku kultury, wiedzy, nauki. Można hołubić umiłowaną wizję zachowania prawdziwej mądrości w żywych mózgach elitarnych mędrców, ale trzeba mieć świadomość, że tym sposobem udałooby się być może przechowywać z pokolenia na pokolenie zawartość treściową Biblioteki Aleksandryjskiej, lecz dla przechowania naszej Biblioteki Narodowej trzeba jednak czym prędzej budować budynek magazynowy na następne 5 mln woluminów. Możliwie najnowocześniejszy, dla... zachowania tradycji.